



Ostatni don

W Niedzielę Palmową, rok po wielkiej wojnie z Rodziną Santadio, don Domenico Clericuzio wyprawiał podwójne chrzciny dzieci, w których płynęła jego krew, a przy okazji zamierzał dokonać zasadniczej zmiany w swym życiu. W tym celu zaprosił szefów największych rodzin mafijnych w Ameryce, jak również Alfreda Gronevelta, właściciela hotelu Xanadu w Las Vegas, i Davida Redfellowa, twórcę imperium narkotykowego w Stanach Zjednoczonych. W zasadzie wszystkich swych partnerów biznesowych.

Przywódcą najpotężniejszej rodziny mafijnej w Ameryce, don Clericuzio, postanowił zrzec się władzy, w każdym razie pozornie. Doszedł do wniosku, że nadszedł czas na zmianę taktyki; otwarte sprawowanie władzy stało się zbyt niebezpieczne. Rzecz jasna, wziął pod uwagę fakt, że oddanie władzy jest posunięciem również dość ryzykownym, i dlatego chciał je przeprowadzić na własnych warunkach, a zarazem tak, by wyglądało, że jest hojny i wspianiałomyślny.

Ośmiohektarową posiadłość w Quogue otaczał ceglany mur wysokości trzech metrów, zwieńczony drutem kolczastym i wyposażony w czujniki elektroniczne. Poza rezydencją don Clericuzia znajdowały się tam domostwa jego trzech synów oraz dwadzieścia domków dla zaufanych ludzi.

Przed przybyciem gości don zasiadł z synami przy białym stole z kutego żelaza w ogrodowej altanie za rezydencją. Najstarszy, dwudziestosiedmioletni Giorgio, wyróżniał się małym

wąsikiem oraz wysoką, szczupłą sylwetką angielskiego dżentelmena, chodził w garniturach szytych na miarę. Na jego posępnej, mrocznej twarzy malowała się złośliwa inteligencja. Don Clericuzio powiedział mu, żeby zapisał się do szkoły biznesu, gdzie nauczą go, jak kraść pieniądze, nie łamiąc przy tym prawa.

Giorgio pokiwał w milczeniu głową; polecenie ojca traktował jak edykt królewski, a nie zaproszenie do dyskusji.

Następnie don zwrócił się do swego siostrzeńca, Josepha „Pippiego” De Leny. Kochał go na równi ze swymi synami, zresztą nic dziwnego — Pippi był nie tylko krewnym (synem jego zmarłej siostry), ale także doskonałym generałem, który pokonał tego nieokrzesanego Santadia.

— Zamieszkasz na stałe w Las Vegas — rzekł mu. — Będziesz pilnował naszych interesów w Xanadu. Teraz, kiedy wycofujemy się z rządu, nie miałbyś tu co robić. Nadal jednak pozostaniesz „młotem” rodziny Clericuzio.

Ponieważ Pippi nie miał uszczęśliwionej miny, don uznał, że musi uzasadnić swą decyzję.

— Twojej żonie nie odpowiadałaby na dłuższą metę atmosfera rodziny i życie w Enklawie Bronksu. Nalene jest inna. Jej tu nie zaakceptują. Dlatego uważam, że musisz urządzić się osobno.

Było to zgodne z prawdą, ale don miał co innego na względzie. Rodzina traktowała Pippiego jak wielkiego bohatera i gdyby nadal pełnił funkcję „burmistrza” Enklawy Bronksu, mógłby zanadto urosnąć w siłę i w przyszłości zagrozić jego synom.

— Postanowiłem mianować cię moim *bruglione* na Zachodzie — wyjaśnił. — Będziesz bogaty. Ale to odpowiedzialna praca.

Wręczywszy Pippiemu akt własności domu w Las Vegas, zwrócił się ku swemu najmłodszemu synowi, który liczył dwadzieścia pięć lat, był najniższy z całego rodzeństwa i zarazem najgrubszy, a poza tym małowówny i wrażliwy. Przesiadując na kolanach matki, nauczył się gotować włoskie wiejskie potrawy i dlatego pewnie najbardziej ze wszystkich oplakiwał jej przedwczesną śmierć.

— Kolej na ciebie — oznajmił z uśmiechem don Clericuzio. — Ty otworzysz w Nowym Jorku wytworną restaurację. Nie żałuj pieniędzy. Pokaż Francuzom, co to dobre jedzenie. — Po

tych słowach to Pippi i młodzi Clericuziowie zachichotali, a i Vincent się uśmiechnął. — Pojedziesz do najlepszej w Europie szkoły restauratorów.

— Czego mnie tam mogą nauczyć? — Vincent skrzywił się, choć był zadowolony z wyroku.

Don Clericuzio spojrział nań surowo.

— Twoje ciasta są pewnie lepsze. Chodzi jednak o to, żebyś nauczył się zarządzać finansami takiego interesu. Niewykluczone, że któregoś dnia zostaniesz właścicielem sieci restauracji. Giorgio da ci pieniądze.

Następnie zwrócił się do Petiego, który był średnim i najwesełszym z jego synów. Wprawdzie w wieku dwudziestu sześciu lat błaznował jak nastolatek, nie ulegało jednak wątpliwości, że to właśnie on odziedziczył geny sycylijskich przodków.

— Petie, teraz, kiedy Pippi obejmuje Zachód, ty zostaniesz „burmistrzem” Enklawy Bronksu i będziesz dostarczał rodzinie żołnierzy. Kupiłem ci firmę budowlaną. Dużą. Remontowanie drapaczy chmur w Nowym Jorku, budowanie budynków dla policji stanowej, asfaltowanie ulic. To dochodowy interes, liczę więc, że go rozwiniesz. W ten sposób twoi żołnierze będą mieli legalne zatrudnienie, a ty godziwe zarobki. Zaczyniesz od odbycia praktyki u dotychczasowego właściciela firmy, ale pamiętaj, że twoim głównym obowiązkiem jest dostarczanie rodzinie żołnierzy.

Zwrócił się ponownie do Giorgia:

— Ty zostaniesz moim następcą. Od dziś obaj z Vincentem jesteście wyłączni z udziału w niebezpiecznych akcjach, poza wyjątkowymi sytuacjami. Musicie myśleć o przyszłości. Nie możemy pozwolić, by twoje dzieci, moje dzieci, mały Dante i Croccifixio, dorastały w takim świecie jak wasz. Jesteśmy bogaci, nie musimy więc ryzykować życia, żeby zarobić na chleb. Zostaniemy doradcami finansowymi innych rodzin. Będziemy wspierać je politycznie i rozstrzygać ich spory. Naszą kartą przetargową będzie silna armia. Zajmiemy się też pilnowaniem ich forsy, a oni za to, jak się mówi na Sycylii, dadzą nam umoczyć dziób.

Za dwadzieścia, trzydzieści lat — podjął po krótkiej przerwie

— wtopimy się w praworządne społeczeństwo i będziemy się spokojnie cieszyć naszym bogactwem. Ci dwaj malcy, których dziś chrzczymy, nie będą musieli grzeszyć ani narażać się tak jak my.

— Czy jest więc sens utrzymywać Enklawę Bronksu?
— zdziwił się Giorgio.

— Nic nie rozumiesz — odparł don Clericuzio. — Chcemy zostać świętymi, nie męczennikami.

*

Godzinę później don Clericuzio obserwował przyjęcie z balkonu swej willi.

Na rozległej murawie, zastawionej stołami piknikowymi z zielonymi parasolami rozpostartymi jak skrzydła, zgromadziło się dwieście osób, przy czym znaczną część gości stanowili żołnierze Enklawy Bronksu. Zwykle chrzcziny przebiegały bardzo radośnie, tym razem jednak kładł się na nie cień.

Zwycięstwo nad Santadiami kosztowało ich wiele ofiar. Don Clericuzio stracił ukochanego syna Silvia, jego córka Rose Marie straciła męża.

Don obserwował gości snujących się wokół kilku długich stołów, na których stały kryształowe karafki z ciemnoczerwonym winem, błyszczące białe wazy z zupą i pastami, półmiski ze stosami mięs i serów w dużym wyborze, chrupiące świeże chleby rozmaitych kształtów i wielkości. Z tyłu cicho grała niewielka orkiestra. Don wsłuchał się w muzykę; działała nań kojąco.

W samym środku podkowy utworzonej ze stołów piknikowych stały dwa wózki przykryte niebieskimi kocykami. Ależ dzielni byli ci malcy! Kiedy pokropiono ich wodą święconą, nawet nie mrugnęli. Przy wózkach pełniły wartę matki — Rose Marie i Nalene De Lena, żona Pippiego. Patrząc z balkonu na niewinne twarzyczki Dantego Clericuzia i Croccifixia De Leny, don czuł się odpowiedzialny za przyszłość tych chłopców. Jeśli uda mu się zrealizować to, co zamierzył, zostaną normalnymi członkami społeczeństwa. Zdziwiło go, że goście prawie wcale nie zwracali na nich uwagi.

Nieopodal Vincent, o twarzy jak wykutej z granitu, częstował dzieci hot dogami. Wózek, który zbudował specjalnie na tę

okazję, był większy od wózków nowojorskich handlarzy, miał bardziej jaskrawy parasol, nie mówiąc już o tym, że oferował smaczniejsze jedzenie. Ubrany w biały, czysty fartuch Vincent serwował hot dogi z kapustą kiszoną i musztardą lub z czerwoną cebulą i ostrym sosem. Zapłata było cmoknięcie w policzek. Obserwując to, don Clericuzio pomyślał, że ze wszystkich jego synów właśnie Vincent, mimo szorstkiej powierzchowności, ma najbardziej miękkie serce.

Petie grał w *bocce* z Pippim De Leną, Virginiem Ballazzem i Alfredem Groneveltem. Don skrzywił się z niesmakiem, widząc, że Petie jak zwykle się wygłupia. Robił wszystko, żeby popsuć grę. No i w końcu mu się udało — tak mocno uderzył w kulę przeciwnika, że rozleciała się na kawałki.

Virginio Ballazzo, prawa ręka don Clericuzia, udał, że chce go za to ukarać, Petie z kolei udał, że się go boi, i rzucił się do ucieczki. Zabawne. Petie był urodzonym gangsterem, a i ten wesołek Ballazzo wyrobił sobie niezłą markę.

Żaden z nich jednak nie mógł się równać z Pippim.

Pippi przyciągał spojrzenia wszystkich kobiet poza Rose Marie i Nalene, matkami ochrzczonych dziś chłopców. Prezentował się doskonale — rosły, grubokościsty, silny, przystojny bandzior. Budził ciekawość także wielu mężczyzn, nie wyłączając żołnierzy z Enklawy Bronksu, którzy w milczeniu kontemplowali wygląd i zwinne ruchy legendarnego „młota”, najlepszego z fachowców.

Młody, rumiany David Redfellow, najpotężniejszy handlarz narkotyków w Stanach, pochylał się nad wózkami i uszczyptał niemowlęta w policzki. Mina Alfreda Gronevelta, ubranego wciąż w marynarkę i krawat, mówiła, że zupełnie nie odpowiada mu ta dziwaczna gra. Gronevelt, podobnie jak don, zbliżał się do sześćdziesiątki.

Dziś don Clericuzio odmieni życie ich wszystkich. Miejmy nadzieję, że na lepsze.

Na balkonie zjawił się Giorgio i zapowiedział pierwsze spotkanie. W pomieszczeniu na tyłach domu czekało dziesięciu szefów Rodzin, których Giorgio wstępnie zapoznał z zamiarami don Clericuzia. Chrzcziny stanowiły doskonałą przykrywkę dla takiego zebrania, ale ponieważ tych dziesięciu nie łączyły

z Rodziną Clericuzio żadne więzy towarzyskie, marzyli o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się gdzie indziej.

Pomieszczenie bez okien wyposażono w ciężkie meble i barek. Dziesięciu szefów Rodzin z ponurymi minami siedziało przy marmurowym stole konferencyjnym. Pozdrowili po kolei don Clericuzia i czekali, co ma im do zakomunikowania.

Don posłał po synów, Vincenta i Petiego, członka kierownictwa Ballazzę oraz Pippięgo De Lenę. Kiedy przyszli, oschły i sardoniczny Giorgio wygłosił krótki wstęp.

Don Clericuzio powiódł po twarzach dziesięciu mafiosów, najpotężniejszych przywódców organizacji, której celem było zaspokajanie elementarnych ludzkich potrzeb.

— Mój syn, Giorgio, wprowadził was w sprawę — powiedział. — Rzecz wygląda następująco: przechodzę na emeryturę we wszystkich branżach poza hazardem. Nowojorskie interesy przekazuję staremu przyjacielowi, Virginio Ballazzowi, który utworzy własną Rodzinę i uniezależni się od Rodziny Clericuzio. Interesy w pozostałej części kraju, w branżach takich jak związki zawodowe, transport, alkohol, wyroby tytoniowe i narkotyki, postanowiłem scedować na wasze Rodziny. Wraz z moimi znajomościami w policji. W zamian proszę tylko, żebyście mi pozwolili zajmować się pieniędzmi, które zarobicie. W moich rękach będą bezpieczne, a przy tym zawsze dla was dostępne. Nie musicie się martwić, że rząd wpadnie na ich trop. A wszystko za jedyne pięć procent prowizji.

Mafiosi nie wierzyli własnym uszom. Oto don Clericuzio, zamiast przejąć nad nimi pełną kontrolę i zniszczyć ich imperia, przekazywał im swe interesy.

Vincent obszedł stół, nalewając wszystkim po kolei wina. Mafiosi unieśli kieliszki i wypili za pomyślność don Clericuzia.

*

Kiedy mafiosi ceremonialnie się pożegnali i opuścili pomieszczenie na tyłach willi don Clericuzia, Petie wprowadził Davida Redfellowa, który usiadł w skórzanym fotelu twarzą do dona i przyjął kieliszek od Vincenta. Redfellow wyróżniał się nie tylko długimi włosami, ale również kolczykiem z diamentem w uchu i dżinsową marynarką noszoną do czystych,

wyprasowanych dzinsów. Był Skandynawem, pogodnym, dość inteligentnym blondynem o jasnoniebieskich oczach.

Don Clericuzio miał wobec niego wielki dług wdzięczności. To właśnie David Redfellow dowiedział, że przedstawiciele władzy da się przekupić narkotykami.

— Od dziś kończysz z narkotykami — oznajmił mu don. — Mam dla ciebie coś lepszego.

Redfellow nie zaprotestował, spytał tylko:

— Dlaczego?

— Dlatego że rząd zaczął poświęcać narkotynom za dużo czasu i uwagi — odparł don. — Do końca życia nie miałbyś spokoju. Poza tym narkotyki stały się zbyt niebezpieczne. Dotąd chronił cię Petie i jego żołnierze, ale sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Ci Kolumbijczycy są straszliwie głupi i pazerni. No cóż, skoro tego chcą, niech sami się z tym męczą. Ty się przenieś do Europy. Tam zdołam zapewnić ci bezpieczeństwo. Kupisz bank we Włoszech i zamieszkaś w Rzymie. Będziesz miał pełne ręce roboty.

— Cudownie — rzekł ironicznie Redfellow. — Zważywszy na fakt, że nie mówię po włosku i nie mam zielonego pojęcia o bankowości.

— Nauczysz się jednego i drugiego — powiedział don Clericuzio. — I będziesz żył szczęśliwie w Rzymie. Oczywiście możesz zostać tutaj, ale wtedy nie dam rady cię wspierać, a Petie ochraniać. Wybór należy do ciebie.

— Kto przejmie moje interesy? — zainteresował się Redfellow. — Dostanę jakieś odstępnę?

— Twoje interesy przejmą Kolumbijczycy — odparł don. — To nieuniknione, taki jest bieg historii. Ale zapewniam cię, że rząd zrobi wszystko, by uprzykrzyć im życie. No więc zgadzasz się czy nie?

Redfellow zadumał się na chwilę, a potem spytał wesoło:

— Od czego mam zacząć?

— Do Rzymu zawiezie cię Giorgio. On pozna cię z moimi ludźmi, a następnie przez kilka lat będzie ci doradzał. — Don wstał i go objął. — Dziękuję, że mnie posłuchałeś. Będziemy nadal współpracowali i wierz mi, nie będziesz miał powodów do narzekania.

*

Po wyjściu Davida Redfellowa don polecił Giorgiowi wezwać Alfreda Gronevelta. Jako właściciel hotelu Xanadu w Las Vegas Gronevelt do tej pory znajdował się pod ochroną wysadzonej obecnie z siodła Rodziny Santadio.

— Panie Gronevelt — zaczął don. — Będzie pan nadal prowadził hotel, tyle że pod moim nadzorem. Nie musi się pan obawiać ani o swoje bezpieczeństwo, ani o pieniądze. Hotel pozostanie pana własnością w pięćdziesięciu jeden procentach, ja będę właścicielem czterdziestu dziewięciu procent należących przedtem do Rodziny Santadio. Będę legalnie reprezentowany. Czy to panu odpowiada?

Gronevelt, który zachowywał się z wielką godnością i mimo wieku miał wspaniałą prezencję, powiedział ostrożnie:

— Odpowiada, ale pod warunkiem że będę prowadzić hotel po swojemu. W przeciwnym razie wolę odsprzedać panu swój udział.

— I zrezygnowałby pan z tej kopalni złota? — spytał z niedowierzaniem don. — Nie, niech się pan nie obawia. Przede wszystkim jestem człowiekiem interesu. Gdyby Santadiowie potrafili zachować umiar, nie doszłoby do tych wszystkich strasznych rzeczy. A tak przestali istnieć jako Rodzina. Ale pan i ja jesteśmy ludźmi rozsądnymi. Moi reprezentanci otrzymają działkę Santadiów. A Joseph De Lena, Pippi, otrzyma to, co mu się będzie słusznie należało. Zostanie moim *bruglione* na Zachodzie z pensją roczną w wysokości stu tysięcy wypłacaną przez hotel Xanadu w formie, jaką uzna pan za stosowną. W razie jakichś kłopotów proszę się zwracać do niego. W pańskiej branży trudno się ich ustrzec.

Wysoki, skromny Gronevelt spytał spokojnie:

— Dlaczego właśnie mnie pan tak wyróżnia? Na pewno ma pan mnóstwo innych możliwości.

— Ponieważ pan jest geniuszem w swoim fachu — odparł poważnie don Domenico. — Wszyscy w Las Vegas tak mówią. Szanuję pana i dlatego zamierzam panu coś dać.

Słyszac to, Gronevelt się uśmiechnął.

— Dał mi pan dość. Mój hotel. Czy coś może się z tym

równać?

Don obrzucił go rozbawionym spojrzeniem, bo choć był poważnym człowiekiem, czasami bawiło go popisywanie się władzą.

— Może pan zgłosić kandydaturę na przewodniczącego Komisji Hazardu w Nevadzie. Mają wakat.

Rzadko zdarzało się, aby Gronevelt był do tego stopnia zaskoczony i pod tak głębokim wrażeniem. Serce zabiło mu mocniej z radości, gdyż oto przed jego hotelem otwierała się przyszłość, o jakiej nie śmiał nawet marzyć.

— Jeśli potrafi pan to załatwić — powiedział cicho — to w najbliższym czasie bardzo się wzbogacimy.

— Już załatwiłem — odparł don. — A teraz zapraszam na przyjęcie.

— Natychmiast wracam do Las Vegas — oświadczył Gronevelt. — Myślę, że nie powinienem być tu widziany.

Don pokiwał głową.

— Petie, niech ktoś podwiezie pana Gronevelta do Nowego Jorku.

*

W pokoju pozostali już tylko młodzi Clericuziowie oraz Pippi De Lena i Virginio Ballazzo. Wszyscy poza Giorgiem sprawiali wrażenie lekko zdezorientowanych. Nie znali planów don Clericuzia.

Ballazzo był młody jak na *bruglione*, miał tylko kilka lat więcej od Pippiego. Kontrolował związki zawodowe, transport odzieży, częściowo narkotyki. Don Domenico przyrzekł mu, że od tej chwili będzie niezależny od Rodziny Clericuzio. Miał płacić jej dziesięć procent i rządzić się po swojemu.

Virginio Ballazzo poczuł, że zakreśliło mu się w głowie od tego awansu. Zazwyczaj nie miał kłopotów z wyrażaniem swych uczuć, a nawet sływał z wylewności, teraz jednak wzruszenie odebrało mu mowę i zdobył się tylko na objęcie don Clericuzia.

— Z tych dziesięciu procent pięć będę odkładał na twoją emeryturę lub jakiś nieprzewidziany wypadek — powiedział don. — Wybacz, że ci to mówię, ale ludzie się zmieniają, tracą pamięć, zapominają o wdzięczności. Otóż proszę, żebyś

dokładnie prowadził księgowość. — Przerwał. — Miej przy tym na uwadze, że nie jestem z urzędu skarbowego i nie mogę ci wlepić domiaru.

Ballazzo zrozumiał, co to znaczy. Don Domenico wymierzał karę szybko i bez ostrzeżenia. Karą nieodwołalnie była śmierć. Ale jak inaczej miał się rozprawiać z wrogami?

Don Clericuzio zwolnił Ballazza. Kiedy odprowadzał do drzwi Pippiego, zawahał się na moment, po czym przyciągnął go do siebie i szepnął mu do ucha:

— Ale pamiętaj, to nasz sekret. I niech tak zostanie. Nigdy ci nie wydałem takiego rozkazu.

*

Nieopodal wejścia do willi na Pippiego De Lenę czatowała Rose Marie Clericuzio, bardzo młoda i piękna wdowa, choć w czerni zdecydowanie nie było jej do twarzy. Żałoba po mężu i bracie tłumiła jej naturalną żywotność, tak ważną dla śródziemnomorskiego typu urody. Sprawiała, że ogromne brązowe oczy wydawały się zbyt ciemne, a oliwkowa cera ziemista. Urodę Rose Marie ożywiały jedynie błękit śpioszków jej nowo ochrzczonego synka Dantego, którego trzymała na rękach. Przez cały dzień unikała ojca i braci, Giorgia, Vincenta i Petiego, chciała jednak porozmawiać z Pippim De Leną.

Gdy była nastolatką, kochała się w kuzynie do szaleństwa. Niestety, Pippi, dziesięć lat starszy, zawsze zbywał ją żartami, traktował jak smarkulę. Mimo że sływał z pobłażania cielesnym zachciankom, wobec córki don Clericuzia zachowywał daleko idącą wstrzeźliwość.

— Cześć, Pippi — zagadnęła go. — Gratuluję.

Odpowiedział jej czarującym uśmiechem przystojnego brutala. Pochylił się, żeby pocałować niemowlę w czoło, przy czym zaskoczyło go, że pachnące jeszcze trochę kościołem włosy małego były sztywne niczym szczecina.

— Dante Clericuzio. Pięknie brzmi.

Powiedział to nie bez kozery, Rose Marie bowiem za namową don Clericuzia wróciła — wraz z osieroconym synkiem — do panińskiego nazwiska, i z tego powodu, mimo że argumenty ojca brzmiały bardzo przekonująco, dręczyły ją wyrzuty

sumienia. Nimi właśnie podyktowane było jej pytanie:

— Jak ci się udało namówić protestancką żonę na katolicką uroczystość i takie religijne imię?

— Moja żona mnie kocha i za wszelką cenę chce mi sprawić przyjemność.

Nalene go kochała, bo go nie znała. W każdym razie nie tak dobrze jak ona.

— Dałeś małemu na imię Croccifixio. Myślę, że amerykańskie imię sprawiłoby większą przyjemność twojej żonie.

— To imię twego dziadka. Nadałem je synowi, aby sprawić przyjemność twemu ojcu — odparł Pippi.

— Wszyscy wciąż staramy się sprawić mu przyjemność — zauważyła Rose Marie. Gorycz tych słów została jednak zamaskowana uśmiechem, który dzięki układowi kości policzkowych wydawał się naturalnym wyrazem jej twarzy, dodawał jej wdzięku i łagodził kąśliwość uwag. Po chwili milczenia dodała: — Dziękuję za uratowanie mi życia.

Pippi popatrzył na nią, jakby nie od razu zrozumiał, o co chodzi.

— Nic ci nie groziło — rzekł cicho po chwili. Położył rękę na jej ramieniu. — Naprawdę. I przestań już o tym myśleć. Zapomnij. Czeka nas szczęśliwa przyszłość. Tylko zapomnij o przeszłości.

Rose Marie przytknęła wargi do główki dziecka, ale po to, by Pippi nie mógł zobaczyć jej miny.

— Zapomnę — mruknęła świadoma, że Pippi powtórzy tę rozmowę jej ojcu i braciom. — Pogodziłam się już z tą sytuacją. — Niech wiedzą, że ona ich wciąż kocha i cieszy się z przyjęcia synka (oczyszczonego dziś z grzechu pierworodnego, dzięki czemu nie groziło mu, że będzie się smażył po wsze czasy w piekle) na łono Rodziny.

W tej chwili podszedł do nich z tyłu Virginio Ballazzo, objął ich i wyprowadził na środek murawy. Z willi wyszedł don Domenico w orszaku synów.

Rodzina Clericuzio — panowie w smokingach, panie w długich sukniach, dzieci w atłasach — ustawiła się półkolem do zdjęcia. Goście zaczęli klaskać i wykrzykiwać życzenia. Chwila ta — chwila pokoju, triumfu, miłości — została

uwieczniona na fotografii, która powiększona i oprawiona w ramkę zawieszona w gabinecie don Clericuzia obok ostatniego portretu jego syna Silvia, poległego w wojnie z Rodziną Santadio.

*

Don wrócił na balkon sypialni, skąd dalej obserwował przyjęcie na dole.

Pchając przed sobą wózek, Rose Marie minęła grupę graczy z *bocce*. Wysoka, szczupła i elegancka żona Pippiego, Nalene, z małym Croccifixiem na rękach przeszła przez trawnik, żeby do niej dołączyć. Położyła synka obok jego kuzyna, a potem obie patrzyły na malców z ogromną czułością.

Serce don Clericuzia przepełniła radość na myśl o tym, że ci chłopcy nigdy się nie dowiedzą, jaką cenę zapłacono za ich szczęśliwe życie.

Teraz do matek podszedł Petie i włożył do wózka butelkę z mlekiem. Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem, bo malcy zaczęli ją sobie wrywać. Rose Marie wzięła Dantego na ręce. Patrząc na nią, don wspomniął przeszłość i ciężko westchnął. Wdowa — cóż za rozdzierający serce widok. Jakże była piękna i radosna, kiedy kochała.

Rose Marie, jego ukochana córka, niegdyś wesoła, pełna życia dziewczyna, zmieniła się wprost nie do poznania. Utrata męża i brata to dla kobiety straszny cios. Ale don z doświadczenia wiedział, że rozpacz nie trwa wiecznie, a wdowy w końcu zdejmują żałobę. Poza tym miała dziecko. Dzieci są wielką pociechą.

Don Clericuzio pomyślał o własnym życiu i zdziwił się, że tyle dokonał. To prawda, że musiał niekiedy podejmować potworne decyzje, ale niczego nie żałował. Postępował słusznie. Odpowie przed Bogiem za swe grzechy i miejmy nadzieję, że zostaną mu odpuszczone.

Teraz Pippi grał w *bocce* z trzema żołnierzami z Enklawy Bronksu, którzy, choć byli od niego starsi i mieli dobrze prosperujące przedsiębiorstwa, czuli przed nim wielki mores. Pippi, świadom, że jest w centrum uwagi, tryskał humorem. Był legendą, tym, który wygrał w *bocce* z Santadiami.

Radość go wręcz rozsadzała — za każdym razem, gdy jego

kula wybiła z misy kulę przeciwnika, wznosił zwycięski okrzyk. Cały Pippi, pomyślał don. Wierny żołnierz, miły towarzysz. Silny, zwinny, przebiegły, mało wymagający.

Na boisko wszedł teraz Virginio Ballazzo, jedyny człowiek, który mógł z nim konkurować. Rzucił kulą. Po chwili jego celność nagrodzono głośnymi oklaskami. Ballazzo złożył triumfalny ukłon w stronę balkonu. Don Clericuzio zaklaskał, czując coś w rodzaju dumy, że tacy ludzie (i wszyscy inni, którzy zebrali się w tę Niedzielę Palmową w Quogue) rozkwitali i tak dobrze sobie radzili pod jego panowaniem. A dzięki jego dalekowzroczności przetrwają trudne lata, które na pewno nadejdą.

Nie dostrzegał tylko załączków zła w nieuformowanych jeszcze umysłach ludzkich.

Rozdział 1

Cytrynowe, charakterystyczne dla kalifornijskiej wiosny światło oblewało marchewkowe włosy Boza Skanneta. Umięśnione ciało mężczyzny drżało; szykował się do skoku. Skannet całym swym jestestwem cieszył się, że świadkami jego wyczynu będzie ponad miliard ludzi na całym świecie.

Wsunięty pod elastyczny pasek spodenek tenisowych mały pistolet zasłonił długą do ud, zapinaną na suwak białą kurtką w pionowe czerwone błyskawice. Włosy przewiązał szkarłatną bandaną w niebieskie kropki. W prawej ręce dzierżył dużą butlę wody Evian. Jak ulał pasował do świata, w który zamierzał za chwilę wkroczyć. Tym światem był tłum przed pawilonem Dorothy Chandler w Los Angeles, oczekujący przybycia gwiazd filmowych na ceremonię wręczenia Nagród Akademii. Gapie siedzieli na trybunach specjalnie wzniesionych na tę okazję, a na ulicy tłoczyły się ekipy stacji telewizyjnych, które postawiły sobie za cel rozesać wizerunki tych współczesnych świętych po całym globie. Dziś wieczorem świat zobaczy wielkie gwiazdy w ich ludzkich wcieleniach — jedne przeżywające triumf, inne przegrane jak zwykli śmiertelnicy.

Gapiów czujnie obserwowali umundurowani strażnicy z błyszczącymi brązowymi pałkami. Ale Boz Skannet nie przejmował się strażnikami. Po pierwsze, był od nich wyższy, zwinniejszy i silniejszy, po drugie, będzie działał z zaskoczenia. Jeśli miałby się kogoś obawiać, to raczej czatujących na wielkie sławy reporterów i kamerzystów, spodziewał się jednak, iż będą

woleli jego napad transmitować, niż mu przeciwdziałać.

Pod wejście do pawilonu zajechała biała limuzyna z Atheną Aquitane, okrzykniętą przez niektóre tygodniki „najpiękniejszą kobietą świata”. Kiedy wyłoniła się z samochodu, gapie, skandując jej imię, zaczęli napierać na barierki. Ekipy telewizyjne rzuciły się, by przekazywać jej urodę do najdalszych zakątków globu. Athena Aquitane pomachała im.

Skannet przeskoczył barierkę przy trybunach. Klucząc między płótkami policyjnymi, zobaczył, że brązowe koszule strażników zbiegają się w jednym punkcie. Normalka, pomyślał. Strażnicy ustawili się jednak pod złym kątem i wyminął ich z taką łatwością, z jaką przed laty wymijał zawodników drużyny przeciwnika na boisku futbolowym. Dobiegł w chwili, gdy zwrócona do kamer lepszym profilem Athena mówiła coś do mikrofonu. Za nią stało trzech mężczyzn. Upewniwszy się, że jest w polu widzenia kamery, Skannet chlusnął na Athenę płynem z butelki. I krzyknął:

— Masz tu trochę kwasu, ty dziwko! — A do kamery powiedział spokojnie: — Zasłużyła sobie.

Wtedy dotarła doń pierwsza fala mężczyzn w brązowych koszulach, z pałkami uniesionymi do bicia. Ukłękł na ziemi.

Athena Aquitane dojrzała go w chwili, gdy unosił rękę z butelką i zdążyła się trochę uchylić. Płyn oblał jej policzek i ucho.

Miliard ludzi na całym świecie zobaczyło na ekranach telewizorów srebrzysty płyn, mokry policzek aktorki, jej zaskoczenie na widok napastnika, wyraz autentycznego przerażenia, który przez chwilę oszpecił jej cudną twarz.

Miliard ludzi na całym świecie zobaczyło, jak policja wlokła Skanneta, który najpierw uniósł ręce w triumfalnym geście jak jakiś gwiazdor, ale zaraz zgiął się wpół, gdyż rozwścieczony policjant, wymacawszy pistolet za paskiem jego spodenek, wymierzył mu silny cios w nerki.

Athena Aquitane, wciąż oszołomiona, odruchowo otarła ręką policzek. Nie czuła pieczenia. Spojrzała na dłoń. Kropelki prędko wysychały. Jacyś ludzie doskoczyli, żeby ją ratować, zabrać stąd czym prędzej.

Odepchnęła ich i powiedziała spokojnie:

— To tylko woda. — I na potwierdzenie swych słów zlizwała kropelki z dłoni. Potem uśmiechnęła się smutno i dodała: — Bardzo typowe dla mojego męża.

Po tej demonstracji opanowania, z jakiego słynęła, szybkim krokiem weszła do pawilonu Dorothy Chandler. A kiedy otrzymała Oscara za najlepszą rolę kobiecą, widzowie urządzili jej długą owację na stojąco.

*

W zimnym wnętrzu penthouse'u na najwyższym piętrze hotelu-kasyna Xanadu w Las Vegas powoli umierał jego osiemdziesięcioletni właściciel. Tego wiosennego dnia wydawało mu się, że słyszy stłumione przez odległość szesnastu pięter grzechotanie kuleczki z kości słoniowej w czerwonych i czarnych zagłębieniach kół ruletek, chrapliwe zaklęcia graczy wygłaszane pod adresem toczących się kości oraz zgrzytanie tysięcy automatów połykających łakomie srebrne monety.

Alfred Gronevelt umierał w pełni szczęśliwy. W ciągu długiego życia był kolejno dziwką, stręczycielem amatorem, graczem, współmordercą, politycznym mataczem, żeby skończyć jako surowy, ale sprawiedliwy władca Xanadu. Z obawy przed zdradą nigdy nikogo nie pokochał, lecz wielu ludziom okazał sympatię. Niczego nie żałował. Teraz cieszył się każdą małą przyjemnością, których niewiele mu już w życiu pozostało. Taką jak popołudniowy obchód kasyna.

Do sypialni wszedł Croccifixio „Cross” De Lena, który przez ostatnie pięć lat był jego prawą ręką.

— Jesteś gotów, Alfredzie? — spytał.

Gronevelt z uśmiechem skinął głową.

Cross przeniósł go na wózek inwalidzki, za którym stał już sanitariusz. Pielęgniarka otuliła starca pledem, wręczyła Crossowi pudełeczko z pigułkami i otworzyła mężczyznom drzwi apartamentu. Sama zostawała tutaj, gdyż Gronevelt nie życzył sobie jej towarzystwa w czasie popołudniowych przejażdżek.

Pokonawszy bezszelestnie zjadliwie zielony sztuczny trawnik ogrodu apartamentu, wózek zniknął we wnętrzu pospiesznej windy, która zatrzymywała się dopiero szesnaście pięter niżej, w kasynie.

Gronevelt siedział wyprostowany jak świeca i rozglądał się dokoła. Bardzo lubił patrzeć, jak ludzie bezskutecznie usiłują puścić go z torbami. Wózek mijał kolejno sektor ruletki, blackjacka, bakarata, powoli przedzierał się przez dżungłę stolików, przy których grano w kości. Gracze nie zwracali uwagi na starca o bystrym spojrzeniu, siedzącego w wózku inwalidzkim, nie widzieli zatem rozbawienia na jego wychudłej twarzy. Nawiasem mówiąc, inwalidzi w Las Vegas nie należeli do rzadkości. Pewnie spodziewali się, że los wynagrodzi im kalectwo.

Wreszcie wózek wtoczył się do kafeterii. Posługacz ustawił go w łoży zarezerwowanej dla Gronevelta, sam zaś usiadł przy innym stoliku, oczekując na sygnał.

Za przeszkloną ścianą w oślepiającym słońcu Nevady połyskiwał ogromny basen wypełniony szmaragdową wodą, w której pluskały się młode matki z dziećmi, z daleka podobne do kolorowych zabawek. Myśl, że to wszystko jest jego dziełem, napawała Gronevelta dumą.

— Przegryź coś, Alfredzie — zaproponował Cross De Lena.

Gronevelt uśmiechnął się do niego. Cross miał taką urodę, że podobał się kobietom i mężczyznom, a poza tym należał do nielicznych osób, którym Gronevelt ufał.

— Kocham ten hotel, chłopcze — powiedział. — Odziedziczysz moje udziały, będziesz więc musiał się jakoś ułożyć z naszymi partnerami w Nowym Jorku, ale za nic na świecie nie oddaj im Xanadu.

Cross poklepał starca po kościstej, wychudłej dłoni.

— Nie oddam.

Gronevelt poczuł, jak światło słoneczne zza szklanej ściany przenika mu do żył.

— Wszystkiego cię nauczyłem — ciągnął. — Dokonałiśmy razem kilku naprawdę trudnych rzeczy, ale nie należy oglądać się za siebie. Jedno ci tylko powiem: dobro procentuje, dlatego staraj się robić jak najwięcej dobrego. To naprawdę popłaca. Natomiast miłość i nienawiść nikomu nie wychodzą na zdrowie.

Pili kawę. Gronevelt dziobał strudel, Cross popijał kawę sokiem pomarańczowym.

— Jeszcze jedno — przypomniał sobie Gronevelt. — Wille

dawaj tylko tym, którzy są gotowi przepuścić milion dolarów. Pamiętaj, te Wille są sławne. Nie wpuszczaj do nich byle kogo.

Cross poklepał Gronevelta po dłoni, ale nie od razu cofnął rękę. Był do niego bardzo przywiązany. Pod pewnymi względami nawet bardziej niż do ojca.

— Nie martw się, Alfredzie — uspokoił go. — Dla mnie Wille są święte. Coś jeszcze?

Gronevelt popatrzył nań zmętniałymi od zaćmy oczyma.

— Bądź ostrożny — rzekł. — Bądź zawsze niezwykle ostrożny.

— Dobrze — odparł Cross. A następnie, chcąc odwrócić myśli starca od śmierci, spytał: — Kiedy mi wreszcie opowiesz o wielkiej wojnie z Rodziną Santadio? Wiem, że z nimi współpracowałeś. Dlaczego wszyscy nabrali wody w usta?

Gronevelt westchnął z rezygnacją w sposób charakterystyczny dla starego człowieka.

— Wiem, że pozostało mi niewiele czasu. Ale nie mogę ci nic powiedzieć. Najlepiej spytaj ojca.

— Pytałem. Ale milczy jak zakłęty.

— Co było, to było — rzekł Gronevelt. — Zostaw przeszłość w spokoju. Nie grzeb w niej. Nie szukaj w niej usprawiedliwienia czy uzasadnienia. Nie szukaj w niej szczęścia. Jesteś, jaki jesteś, i to samo odnosi się do świata.

*

Potem Gronevelt wrócił do penthouse'u i pielęgniarka go wykapała. Mierząc mu puls, zmarszczyła czoło, na co Gronevelt powiedział:

— To tylko procenty.

Tej nocy spał zdrowo, a nad ranem doszedł do wniosku, że chciałby popatrzeć przez okno. Pielęgniarka posadziła go w ogromnym fotelu, otuliła pledami, sama zaś przycupnęła obok i sięgnęła ponownie po jego dłoń, by zmierzyć puls. Kiedy chciała cofnąć rękę, Gronevelt przytrzymał ją za nadgarstek. Nie oponowała. Trzymając się za rękę, obserwowali wschód czerwonej kuli słońca nad pustynią.

Niebo stopniowo zmieniło barwę z atramentowoczarnej na ciemnopomarańczową. Gronevelt patrzył na kort tenisowy, pole

golfowe, basen, siedem Willi oświetlonych niczym Wersal oraz dumnie powiewające flagi hotelu Xanadu — białe gołębie na zgniłozielonym polu. Na bezkresną pustynię w tle.

Wszystko to moje dzieło, dumiał. Na ugorze wybudowałem świątynię przyjemności. Żyłem szczęśliwie. Sobie to zawdzięczam. Starłem się być najlepszym człowiekiem na świecie. Czy zostanę osądzony? Myślami wrócił do swojej młodości, przypomniał sobie kolegów, młodocianych filozofów, spierających się na temat Boga i moralności, jak to wówczas mieli w zwyczaju czternastoletni chłopcy.

„Gdyby ci dawali milion dolarów za naciśnięcie guzika i zabicie miliona Chińczyków — zaczął kiedyś jeden z nich z triumfalną miną, jak gdyby stawiał jakąś niemożliwą do rozwiązania kwestię etyczną — zrobiłbyś to?”. Po długiej dyskusji zgodzili się, że nie byłiby do tego zdolni. Wszyscy, oprócz Gronevelta.

Teraz wiedział z całą pewnością, że to on miał wtedy rację. Nie dlatego, że odniósł w życiu sukces, ale dlatego, że dziś nikt by takiego pytania już nie postawił. Dylematy tego rodzaju przestały istnieć. Co najwyżej można było je sformułować w następujący sposób:

„Czy nacisnąłbyś guzik, żeby dla marnego tysiąca dolarów zabić dziesięć milionów Chińczyków?” (czemu, do diabła, właśnie Chińczyków?). Tak brzmiałoby obecnie to pytanie.

Świat nabierał krwawopurpurowej barwy. Groneveltowi zakręciło się w głowie. Ścisnął dłoń pielęgniarki, żeby nie stracić równowagi. Dzięki zaćmie mógł patrzeć prosto w słońce. Pomyślał sennie o kobietach, które kochał, i o pewnych działaniach, które przedsięwziął. O facetach, z którymi obszedł się bezlitośnie, i o tych, którym okazał miłosierdzie. Pomyślał o Crossie jak o synu i zrobiło mu się go żal. Pomyślał o Rodzinie Santadio i o Rodzinie Clericuzio. Był szczęśliwy, że ma to już za sobą. Tylko jak właściwie należało żyć — szczęśliwie czy moralnie? I czy do znalezienia odpowiedzi na to pytanie koniecznie trzeba być Chińczykiem?

Ta ostatnia myśl zupełnie go skonfundowała. Pielęgniarka poczuła, że dłoń starca nagle stężała i zrobiła się zimna. Pochyliła się nad nim, żeby sprawdzić, czy daje daję znaki życia. Nie dawał.